

**JULIA HARTWIG**  
ur. 1921; Lublin



<b>Tytuł fragmentu relacji</b>	Lublin przedwojenny – ogólna atmosfera
<b>Zakres terytorialny i czasowy</b>	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
<b>Słowa kluczowe</b>	Lublin, Julia Hartwig, Harwig Julia, Hartwig

**Lublin przedwojenny – ogólna atmosfera**

Zachowałam wspomnienie Lublina przedwojennego jako czegoś bardzo różnorodnego. Po pierwsze dzielnice były bardzo różne. No, właśnie miasto żydowskie. Ta część, jak już mówiłam kilkakrotnie, robiła na mnie wielkie wrażenie i była czymś takim bardzo swoistym. Właściwie nigdzie potem nie spotkałam niczego takiego. Może Kazimierz krakowski był taki, ale nie miałam z nim wtedy do czynienia, byłam w Lublinie. No, jeśli chodzi o Krakowskie, to ta ulica była też bardzo różnorodna ze względu na spotykanych ludzi. Lublin to było takie miasto, gdzie przyjeżdżali zamożni ziemianie, gdzie było sporo wojskowości, gdzie gdzieś tam dla mnie w rejonach właściwie zupełnie obcych, nie znanych mi, ale wiadomych, rozgrywało się jakieś życie towarzyskie, dosyć takie snobistyczne. Były jakieś takie oficcerskie przyjęcia, były jakieś także ziemiańskie bale - tego było przed wojną dosyć dużo, a mało się o tym mówi. Poza tym były hotele, które były bardzo jednak ekskluzywne. One były i bardzo kosztowne, no ale zawsze tam byli jacyś przybysze z prowincji, którzy właśnie ze swoich majątków przyjeżdżali tu po zakupy do Lublina. W Lublinie można było bardzo dobrze się zaopatrzyć i w ubrania i była fantastyczna kuchnia podobno. Ja to raczej korzystałam z kuchni domowej, ale były znane te restauracje lubelskie – znane z tego, że miały bardzo wykwintny dobór dań. To co ja najbardziej zapamiętałam ze Śródmieścia, to są księgarnie. Pamiętam, że kiedy byłam starsza, kiedy byłam w klasach licealnych, to właściwie już mnie rozpoznawali tam, w tych księgarniach. Bo przychodziłam i szukałam jakiś tomików poetyckich albo szukałam jakiś opracowań. No, byłam taką klientką nieszczególną, bo na pewno nie miałam dużo pieniędzy w kieszeni, ale zawsze byłam ciekawa książek, które się ukazały i bardzo dokładnie wiedziałam, czego chcę. Kolejny element tamtego miasta – duży żywioł młodzieżowy. Jeśli chodzi o studentów, to ja nie miałam do nich dostępu, bo jednak bardzo był wyraźny taki podział na szkołę i uniwersytet. Natomiast szkoły były dwie państwowe: to była Unii Lubelskiej i Staszica, jedna żeńska, druga męska. Do tej żeńskiej chodziła moja siostra o pięć lat ode mnie starsza, także, kiedy ja wchodziłam do szkoły, to ona wkrótce potem wyszła już ze szkoły. A w Gimnazjum Staszica uczył się mój brat Walenty, późniejszy profesor medycyny. Natomiast, o ile pamiętam, to nie dostał się do tej szkoły – bo to bardzo wymagająca szkoła – mój brat Edward, który był bardzo utalentowany, ale nie miał takich specjalnych intelektualnych zapałów. Także oczywiście skończył gimnazjum. Nawet w tej chwili nie potrafię powiedzieć, które to było gimnazjum. To nie świadczy o mnie dobrze, ale rzeczywiście nie pamiętam. No i były gimnazja prywatne. Do Gimnazjum im.

Arciszowej chodziła moja najstarsza siostra. To była szkoła płatna i myślę, że ona dostała się dlatego do tej szkoły, że nie była szczególnie uzdolniona, no ale chciała skończyć szkołę i wobec tego rodzice kładli na jej wykształcenie. Moja nauka nie kosztowała nic. Na ulicach, no cóż, właściwie to pięknie pachniało w Lublinie. Mam takie miłe wspomnienia zapachowe, że właśnie naprzeciw Hotelu Europejskiego był taki bardzo duży sklep kolonialny, bardzo elegancki, gdzie były łososie, kawy, różnego rodzaju herbaty i bardzo eleganccy subiekci, tacy ogromnie grzeczni. Już potem nigdy takich subiektów nie spotkałam w życiu. Nawet już przesadnie grzeczni byli, powiedziałabym, jak na nasze obyczaje. Jak się wychodziło, to czuło się zapach kawy z tych sklepów kolonialnych. Z piekarni dobiegały wspaniałe zapachy pieczywa, bo pieczywo lubelskie było bardzo znane. Nie zawsze jadałyśmy to pieczywo, ale ja byłam często posyłana na Stare Miasto właśnie po pieczywo z piekarni żydowskiej albo z piekarni tureckiej, bo była piekarnia turecka. Jedna z tych piekarni tureckich była potem na ulicy Świętoduskiej. A na Starym Mieście też była jedna, ale nie potrafię dokładnie jej zlokalizować. Rzeczywiście prowadził je Turek. Tam były głównie takie ciasta słodkie: jakieś bułki z rodzynkami, ciemne, jasne – no, wybór był ogromny. Znowu teraz wracamy do takiej tradycji wielochlebowej, że tak powiem, ale przez długi czas w Polsce było dosyć monotennie, jeśli chodzi o pieczywo. Nie można się skarżyć na to, bo jednak chleb polski jest wspaniały. Jak ludzie wyjeżdżają za granicę, to skarżą się na przykład na bułkę włoską, że jest za miękka. A poza tym chleba w ogóle tam nie ma. Właściwie oni chleba nie jadają, tylko jedzą bułkę. Natomiast jeśli chodzi o wygląd ulicy, to także taka ogromna barwność i ogromna różnorodność, także wiekowa – dużo młodzi, dużo ludzi starszych. Widać było także takie przedziały wynikające z mniejszej lub większej zamożności. Sporo zawsze było ludzi ze wsi, którzy przyjeżdżali do Lublina, żeby się zaopatrzyć, zwłaszcza w dni targowe. Można ich było spotkać nie tylko na targu – kobiety sprzedawały tam, a mężczyźni robili różne zakupy w mieście. I często można było spotkać wtedy wieśniaków, ludzi ze wsi, którzy byli w sukmanach. Jeszcze wtedy to ubranie było takie obowiązujące. Bardzo oni tego przestrzegali, pięknie to nosili. To były takie wełniane burki, bardzo ładne, bure, takie jakieś malownicze i bardzo autentyczne. No i sposób mówienia – jak się szło, to się słyszało wszystko: słyszało się lubliniaków, słyszało się lubliniaków ukraińskich, którzy zaciągali a mówili po ukraińsku, słyszało się język jidisz. Ta różnorodność wyrażała się także w języku. Bo jeśli chodzi o Żydów, którzy chodzili w chałatach, w ubraniach takich typowych, oni się na ogół w Śródmieściu tak bardzo nie pokazywali. Raczej się trzymali swoich okolic. Nie pamiętam, żeby to było barwne miasto. Ale miało bardzo dużo zieleni. Także nigdy nie miałam takiego uczucia, że jestem w takim mieście kamiennym jakimś, martwym, bo bardzo było dużo drzew, bardzo było dużo zieleni. Poza tym Ogród Saski był bardzo zawsze piękny i odwiedzany tłumnie przez lubliniaków. Jak zawsze, tak jak w każdym mieście przedwojennym, ludzie po mszy świętej wychodzili na ulice i paradowali, ubierali się w najlepsze stroje i chodzili Krakowskim Przedmieściem tam i z powrotem, witając się nawzajem i pozdrawiając. Często, będąc w Śródmieściu, zatrzymywałam się na przykład na Placu Litewskim. Był tam taki skwer. Jak nie miałam dosyć czasu, żeby pójść do Ogrodu Saskiego, który bardzo lubiłam, bo był bardzo piękny, tak malowniczo położony, jak całe miasto zresztą, to często zatrzymywałam się właśnie na tym skwerze Placu Litewskiego. No ale niewątpliwie naprawdę ulubionym moim miejscem było Stare Miasto. Na Wieniawie bywałam, tak. To była chyba jedyna dzielnica, w której ja bywałam. To znaczy, jeszcze bywałam na Kalinowszczyźnie. To były takie dwie dzielnice, które znałam. Zupełnie inaczej wtedy wyglądała. Tam się chodziło na przykład na majówki, pamiętam. A okolica za Uniwersytetem Lubelskim, za KUL-em, tam już były właściwie ogrody, łąki, pola. Myśmy tam taką małą działkę. Widocznie rodzice mieli zamiar się kiedyś pobudować tam. Nigdy do tego nie doszło. Jedyne, cośmy z tą działką zrobili, tośmy posadzili tam maliny. Wszyscy przychodziliśmy zbierać te maliny i objadaliśmy. One były wspaniałe. Zawsze jak czytam Leśmiana „W malinowym chruśniaku”, to mi się przypomina, że myśmy mieli też własne maliny.

Data i miejsce nagrania	2006-05-13, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman, Joanna Zętar, Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Agnieszka Zachariewicz, Magdalena Nowosad
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"